Nr 322.

# Dodatek do „Gazety Narodowej”

z dnia 19. Listopada 1899.

## Rada państwa.

(Tel. „Gaz Nar“.)

Wiedeń 18 listopada.

### Oskarzenie ministrów.

W rozprawie wczorajszej na posiedzeniu izby posłów austryackiej rady państwa nad wnioskiem oskarzającym ministerstwo hr. Thuna o nadużycie § 14 pierwszy zabrał głos poseł Hoffmann-Wellenhof i powiedział, że rządy hr. Thuna były wyłącznie próbą praktyczną, czy też nie możnaby się obyć bez parlamentu. Jedno bezprawie szło za drugiem, a każde późniejsze miało pokrywać poprzednie. Działalność ministra Thuna i Kaizla przedstawia jedną z najciemniejszych kart historyi austryackiej. Nadużywano systematycznie § 14, wydając rozporządzenia, które trwale obciążają skarb państwa, izba powinna więc bez względu na stronnictwa głosować za wnioskiem oskarzającym, gdyż chodzi tu o interes całego parlamentu. (Oklaski na lewicy).

Następny mowca p. Funke zaznaczył, że ustawa o odpowiedzialności ministrów jest kamieniem węgielnym konstytucyonalizmu i parlamentaryzmu. Hr. Thun znieważył konstytucyę nadużywając § 14. Hr. Thun objawił zły zamiar, bo dążył do zasystowania i zmiany konstytucyi i tylko w tym celu nadużywał § 14.

Opozycya wystąpiła dlatego z oskarzeniem poprzednich ministrów w imieniu narodu niemieckiego, aby zadokumentować fakt, że Niemcy świadomi są tego, jakie prawa mają obywatele, a jakich b zprawi dopuścił się rząd. Niemcy świadomi są praw swoich tak w Austryi jak i po za nią. (Huczne oklaski na lewicy).

Na tem rozprawę przerwano.

### Interpelacye.

Z kolei minister Körber odpowiadał na interpelacyę posła Luegera, co rząd uczynił przeciw dżumie w Tryjeście. Minister oświadczył, że badania bakteryologiczne przeprowadzone po obdukcyi majtka tureckiego Barbarisa, zmarłego na okręcie „Polis Mitiline“ potwierdziły pierwotne podejrzenie dżumy. Natychmiast po tem zarządzono wszelkie środki ostrożności. Od śmierci tego majtka upłynęło już dni 10, a nie ma żadnego śladu dalszych objawów podejrzanych. Nie ma też powodu do obawy i można wyrazić nadzieję, że bezwzględna jawność i objektywność z jaką austryacki zarząd sanitarny stosownie do uchwał międzynarodowej konferencyi drezdeńskiej i weneckiej od chwili pojawienia się niebezpieczeństwa zarazy postępuje, przyczyni się do rozprószenia wszelkich obaw nietylko w Austryi ale i zagranicą i do przywrócenia normalnej komunikacyi.

Następnie zabrał głos Schenerowiec Fochler i zapytał prezydenta izby, dlaczego nie postawiono dotąd na porządku dziennym prowizoryum budżetowego oraz dlaczego przyjmuje się do protokołu izby petycye pisane po czesku.

To pytanie Fochlera wywołało wielką wrzawę wśród Czechów. Prezydent odpowiedział, że prowizoryum budżetowego nie mógł postawić na porządku dziennym, gdyż stosownie do przepisów regulaminu stały na porządku dziennym same sprawy nagłe a zresztą postawić już może prowizoryum na porządku dziennym najbliższego posiedzenia. Co do petycyj czeskich to regulamin nie zawiera pod tym względem żadnego zakazu (wrzawa na lewicy — oklaski na prawicy).

P. Steinwender przypomniał na to prezydentowi dotychczasowy zwyczaj i twierdził, że nawet Abrahamowicz nie pozwolił wciągać do protokołu interpelacyj czeskich. (Protesty na prawicy).

Prezydent oświadczył na to, że uważa za rzecz słuszną pozwalać petentowi nieznającemu języka niemieckiego wnosić petycye do rady państwa w swoim własnym języku. (Oklaski na prawicy, protesty na lewicy).

Następnie zabrał głos poseł Kozakiewicz i postawił wniosek, aby komisya legitymacyjna obradowała na posiedzeniach jawnych. Wniosek ten odrzucono wśród gwałtownych protestów lewicy.

Na tem posiedzenie zamknięto, a następne zwołane zostało na wtorek 21 b. m. godzinę 1 popołudniu.

## Komisya § 14.

(Tel. „Gaz. Nar.)

Wiedeń d. 18 listopada.

Wczoraj wieczorem miała posiedzenie komisya zmiany § 14. Wszyscy mowcy oświadczali się przeciw dzisiejszemu jego tekstowi. Posłowie Kaiser, Kramarz i Szuklje domagali się zupełnego skreślenia tego paragrafu, a poseł Haugwitz także równoczesnej zmiany regulaminu izbowego. Br. Di Pauli zaproponował nową stylizacyę paragrafu 14 tak, iżby trybunał państwa decydował przed wydaniem rozporządzenia, czy nie ma widoków parlamentarnego załatwienia danej sprawy. Hr. Dzieduszycki uznając, że obecne brzmienie § 14 kryje w sobie wielkie niebezpieczeństwo dla parlamentu, nazwał wniosek Grabmayera niedostatecznym i zapytał rząd, czy mniema, że w razie gdyby dostatecznie zawarowane zostało stosowanie § 14 to w najbliższej przyszłości a przynajna razie zostałaby przez to dostatecznie zabezpieczona parlamentowi możność pracy, jak również jakie w ogóle stanowisko rząd chce zająć w całej sprawie § 14.

Hr. Dzieduszycki oświadczył się za stworzeniem stałej komisyi, złożonej z członków oba izb, za której zezwoleniem jedynie wolnoby było rządowi wydawać rozporządzenia i to tylko na wypadek niezbędnej konieczności. Potem posiedzenie przerwano. Następne zwołane zostało na wtorek.

## Pogadanka naukowa.

(Plamy słoneczne i wpływ ich na ziemię. — Wyspa magnes. — Ważne odkrycie w dziedzinie fizyki).

Od dawna bo od czasu wynalezienia lunety, astronomowie dostrzegli na powierzchni słońca mniejsze lub większe, nieregularnych form plamy, odbijające od oślepiająco białego tła tarczy. Istnieje hypoteza, usiłująca wytłómaczyć naturę owych plam i są one, według większości uczonych, niby olbrzymieni krami ścinającej się materyi, pływającemi na falach ognistego oceanu. Schwabe w 1851 r. wykazał, że zjawisko to pojawia się peryodycznie.

Otóż nastręcza się ciekawe pytanie, czy plamy słoneczne wywierają jakikolwiek wpływ na ziemię? Czy lekkie wzrastanie ciepła, będące skutkiem owego zjawiska, nie sprowadza zmian klimatycznych?

Kwestya ta przez długi czas pozostawała nierozwiązaną; dzięki jednak wytrwałym poszukiwaniom — przeważa obecnie zdanie, że wzmiankowany wpływ istnieje w rzeczywistości.

Przyjrzyjmy się faktom. Przedewszystkiem pojawienie się wielkich plam na słońcu sprowadza zawsze na powierzchni ziemi t. zw. burze magnetyczne, którym towarzyszą wspaniałe zorze polarne i zmiany silne w magnetyźmie ziemskim. Skonstatowano przytem, że burze magnetyczne trafiają się tem częściej, im większa powierzchnia na słońcu jest pokrytą plamami.

Czy jednak zależność pomiędzy plamami a zjawiskami klimatycznemi ogranicza się tylko do zmian w magnetyzmie? A dalej, czy owa zależność jest zwykłą przyczynową albo mówiąc inaczej, czy zjawiska metereorologiczne są prostym skutkiem ukazywania się plam!

Ks. Moreux, astronom, zrobił ważne spostrzeżenie, że zwiększanie się temperatury poprzedza zwykle plamy, a nie następuje po nich, jak to sądzono dotychczas. Wynikałoby ztąd, że plamy nie są bezpośrednią przyczyną zmian, zachodzących w atmosferze ziemskiej i dla tego też nigdy nie można przepowiadać pogody, opierając się tylko na obserwowaniu powierzchni słońca. Co najwyżej potrafilibyśmy przewidzieć, że pewne lata będą miały bardzo nizką, średnią albo też wysoką temperaturę.

Dziś jednak obchodzimy się w meteorologicznych przewidywaniach bez plam słonecznych. Metoda obecnie używana jest wcale niezła. Z pomiędzy 100 przepowiedni, rozsyłanych przez centralną stacyę meteorologiczną angielską do dzienników porannych sprawdza się 81 a co do burz, te dają się im prawie zawsze przepowiedzieć na parę dni z góry z dokładnością 91 na 100. Metoda owa opiera się jednak na obserwacyi codziennej, jest czysto eksperymentalną. Gdyby się komu dało określić dokładnie wpływ plam słonecznych na atmosferę, metoda owa zyskałaby wiele, stanęłaby na pewniejszym gruncie i pozwoliłaby robić przepowiednie na dalszą metę.

Że zaś ów wpływ istnieje, tego dziś już, jak powtarzamy, zaprzeczyć niepodobna. Magnesowa igła kaprysi nietylko pod tajemniczym wpływem plam słonecznych, ale zachowuje się nienormalnie także w pewnych okolicach ziemi. Istnieje np. wyspa magnes, wnętrze której wywiera tak potężny wpływ na bussolę, iż żeglarze nie mogą się nią posługiwać w tamtych okolicach i gdyby nie znali dokładnie drogi i nie kierowali się przy pomocy latarni morskich w nocy, napewno zbłąkaliby się, a statki ich uległyby rozbiciu o skały nadbrzeżne.

Należy tu jednak zaznaczyć, że siła przyciągająca owej wyspy nie jest znowu tak wielką, ażeby, tak jak w bajce z tysiąca i jednej nocy — o sinobrodzie — wyrywała na odległość paru mil gwoździe i żelazne części z okrętów; w każdym razie posiada ona wyjątkowe natężenie.

Wyspa magnes nosi w geografii nazwę Bornholm i leży na morzu Bałtyckiem w pobliżu Danii. Jestto olbrzymi, bo mierzący 600 km. kwadratowych magnes; nic więc dziwnego, że wprawia on w szalony obrót, zmusza do nadzwyczajnych skoków igłę magnesową znajdującą się o kilka kilometrów odeń.

Zjawisko to każe przypuszczać, że wyspa magnes ukrywa w swem łonie bogate pokłady żelaza; inaczej bowiem niepodobna wytłómaczyć sobie tak silnego działania jej na kompas.

Istnieje też inny punkt, równie godny uwagi jak Bornholm, pod względem magnetycznym. Jest to mała wioska nazwiskiem Koczetówka w kurskiej gubernii w Rosyi. Jestto prawdziwy biegun magnetyczny, w którym tak samo jak w miejscu odkrytem przez Rossa w polarnych okolicach Ameryki, igła magnesowa przybiera położenie ściśle pionowe, zamiast wskazywać jednym końcem na północ, a drugim na południe. Zjawisko to jest czysto lokalne, gdyż o kilkadziesiąt metrów opodal igła daje już niewielkie nachylenia a o parę wiorst wraca do normalnego położenia. I tutaj więc należy się spodziewać istnienia wielkich ilości żelaza.

Bardzo interesującego odkrycia dokonał p. H Cross, który zajmuje się ceramiką. Każdy chyba miał sposobność patrzeć przez szkła kolorowe i przekonać się, że widziane przez nie przedmioty pokrywają jednostajną barwą, taką jaką posiada samo szkło. Wiemy też, że składając razem szkła odmiennych kolorów, można otrzymać kombinacye barw; tak np. przez szkła niebieskie i czerwone będziemy widzieli fijoletowo, przez żółte i niebieskie zielono itd. A jednak p. Cross zauważył pewne dziwne wyjątki od tego ogólnego prawidła i to dzięki przypadkowi jedynie.

Wziął on pewnego razu dwa kawałki szkła; jeden żółty, zafarbowany mieszaniną tlenników manganezu i żelaza, oraz drugi niebieski — zawdzięczający swą barwę tlennikowi kobaltu i ku wielkiemu swemu zdziwieniu przekonał się, że nie wszystkie otaczające przedmioty widziane przez tę kombinacyę, posiadały jednostajnie zieloną barwę. Podczas gdy niebo miało kolor lazurowy, drzewa i łąki przedstawiały się pożółkłe, niby jesienią a kwiaty zachowały barwy naturalne, to samo inne przedmioty, jak stoły, krzesła, słupy itd. Spostrzeżenie to naprowadziło p. Crossa na myśl, że powyższa niejednostajność zabarwienia musi być zależną od fizyologicznych lub chemicznych własności przedmiotów. Aby sprawdzić swoją hypotezę, zaczął on rozpatrywać najrozmaitsze przedmioty w powyższy sposób.

Niebawem stwierdził, że istnienie kobaltu we wszystkich jego połączeniach daje się wykazać przez proste przypatrzenie się zawierającym go przedmiotom; dodatek innych barwników np. żółtego antymonowego lub uranowego, zmienia cokolwiek kolor czerwony kobaltowy, nadając mu odcień pomarańczowy. Odwrotnie dzieje się z zieloną i niebieską barwą, otrzymaną z soli miedzi; rozpatrywane przez ekran szklany, nie zmieniają się one wcale.

Jak dotychczas, pragnąc poznać skład chemiczny jakiejś farby, emalii, glazury etc. musieliśmy poddawać je żmudnej analizie chemicznej, która zresztą często była niemożliwą do dokonania, jeśli chodziło o zachowanie całości przedmiotu badanego np. emaliowanego wazonu. Dziś zaś, dzięki odkryciu p. Crossa jesteśmy w stanie poznać skład chemiczny danej rzeczy, przypatrując się jej przez ekran ze szkieł kolorowych.

Odkrycie p. Crossa pozwala badać nietylko emalię i werniksy, ale znajdzie ono nadzwyczaj szerokie zastosowanie. Oto ekran z kolorowych szkieł służy i będzie doskonały do odróżniania prawdziwych drogich kamieni od fałszywych. Tak np. szmaragd naturalny, widziany przez opisaną kombinacyę szkieł, przybiera kolor fiołkowo różowy z odcieniem lekko zielonawym, znikającym w niektórych miejscach; sztuczny zaś pozostaje zielonym; szafir zachowuje pod ekranem barwę niebieską, imitacya zaś staje się czerwono-różową, gdyż zawiera kobalt itd.

Każdy przyzna, że ta metoda jestnie tylko

---

95

## JAN-LA-MICHE

przez S. Bobée.

(Ciąg dalszy.)

Te słowa Filocha wywołały szmer w audytoryum.

Umysły zaczęły się już skłaniać na stronę Maryi de Champreux.

— Uciszcie się! — zawołał prezes — bo rozkaż opróżnić salę. Obwiniony, powiedz gdzie i kiedy poznałeś Maryą de Champreux?

— Oto tak było, panie prezesie; powiem całą prawdę, tylko prawdę, przysięgam na wizerunek Chrystusa, który wisi ponad szlachetnemi głowami panów przysięgłych...

— Obwiniony, nie możesz przysięgać... Zdawało się że byłeś względnie szczery podczas badania, radzę ci być takim do końca.

— Szczery, jak złoto, panie prezesie, to moja słabość. Poznałem tak zwaną pannę Maryę Lenoir, albo, albo de Champreux, w domu przy ulicy Rodier, gdzie mieszkałem; ona także tam mieszkała ze swoją matką; nie wiedziano, że to żona i córka człowieka skazanego, i uważano je za osoby godne szacunku i poważania. A, że nieobce mi są słabości ludzkie, uczułem drżenie serca na widok wdzięków tej panny, o której myślałem, że posiada wszystkie cnoty. Kiedy żądała, żebym zajął się sprzedażą jej akwareli, dałem jej poznać moją namiętność i powiedziałem, że unieszczęśliwia mnie stosunek jej przyjazny z tym dyabelskim Janem la Miche, podłym podrzutkiem, który jest przyczyną śmierci mojej siostry, za co teraz pokutuje w Tonkinie.

— „Ah! mądryś — odpowiedziała — nie widzisz, że ja się bawię tym biedakiem Janem; ty, dosyć mi się podobasz, choć nie bardzo ładnyś; nie mówię, że cię kiedyś nie pokocham, choć na krotko, lecz obecnie, wyżej i korzystniej mierzę, udaję świętoszkę, składam w redakcyi dzienniki, jak gdybym nie chciała sprzedać cnoty za wszystkie skarby świata. Jest pewien szlachcic, który grzebie się w milionach i który silnie mną się zajął, chcę go doprowadzić, żeby ożenił się ze mną formalnie, skoro raz zostanę jego żoną, pomyślę o zabawieniu się z dawnymi towarzyszami, a możesz być pewny, że o tobie nie zapomnę. Podobasz mi się, bo jesteś łatwy w obejściu...“

Nie długo potem wyniosła się z domu i poszła do pana Brizard, który umieścił ją u swego przyjaciela w Meriel, a ztamtąd przysłała mi człowieczynę nieznajomego, który zaproponował mi od niej okradzenie willi Boniward.

— Gdzie zrobił ci tę propozycyę?

— W handlu win, nie pamiętam już w którym, lecz w bliskości kanału S-go Marcina. Tam zastaliśmy drugiego przyjaciela Maryi Lenoir, z którym omawialiśmy rzecz przy winie. Panowie ci powiedzieli, że Marya na pewno liczy na wyjście za mąż za swojego opiekuna, lecz tymczasem chce żeby towarzysze użyli trochę życia jego kosztem. Przyznaję, panie prezesie, że bardzo mi się to podobało.

— To ci dwaj byli twoimi wspólnikami w Mériel i przy ulicy de Trévise?

— Tak panie prezesie.

— I nie wiesz absolutnie skąd się wzięli i co byli za jedni?

— Ani ich widziałem, ani znałem i przed i po... sprawie, mój prezesie, nie wiem skąd się wzięli i nie mógłbym powiedzieć, co oni za jedni. Przypuszczam, że panna Lenoir poznała ich podczas pobytu za granicą.

— Czy nie byli Francuzami?

— Najpierw myślałem, że to Włosi, lecz teraz sądzę, że byli z dalszych jeszcze krajów.

— Mówili językiem niezrozumiałym?

— Okropnie niezrozumiałym, pani prezesie; podobnym trochę do niemieckiego i trochę do hiszpańskiego.

— Czy mówili sobie po nazwisku?

— Jeden nazywał się Lantimèche a drugi Miton Mitaine. Wszystko mi się zdaje, że to były przezwiska. To Lantimèche spoił ogrodnika Colleret, potem stał na straży, kiedy przełaziliśmy przez mur do parku pana Bonivard; tam Marya Lenoir nas czekała i podczas kiedy Colleret spał po winie jak zabity, a pani Magloire także spała twardo jako głucha, Marya wprowadziła nas do willi i pokazała co było najlepszem do pakowania w worki, któreśmy przynieśli.

— „Widzicie — mówiła — że jestem przyjaciółką, o jaką trudno, do tego stopnia jestem jeszcze dobra, że chcę wam ułatwić interes o wiele korzystniejszy, a to u mojego przyszłego męża. Będzie to *a conto* z mojego majątku, lecz nie uważam na nic, kiedy chodzi o zobowiązanie kolegów.“

— Obwiniony, czy nie ukrywasz czego?... Czy naprawdę Marya de Champreux wskazała wam sposób dostania się do domu pana Brizard przy ulicy de Trévise?

— Tak, panie sędzio, to ona.

— Możnaby sądzić, że dobrowolnie podała wam sposób okradzenia tylko pana Bonivard i że mając ją w ręku z powodu tego wspólnictwa, zmusiliście ją, ażeby udzieliła wskazówek co do kradzieży i morderstwa u tego, którego uważała za przyszłego swejego męża?

— Zrobiła to z własnej woli, bez żadnego przymusu, panie prezesie, klnę się na popioły ojca, matki i siostry mojej.

— Obwiniony, powiedziałem już, ażebyś nie przysięgał. Mów dalej i nie staraj się imponować sędziom.

— Po zebraniu, co się dało, u pana Bonivard, powróciliśmy spokojnie do Paryża, jak zwykli śmiertelnicy.

— Zapewne w Paryżu sprzedaliście przedmioty skradzione paserom, których nie chcesz wskazać?

— Panie prezesie, nie wiem ich nazwiska; Lantimèche podjął się spieniężyć produkt naszego przemysłu. Każdemu z nas dostało się około pięciu tysięcy franków. Przyznam się, że zacząłem hulać, pasłem i poiłem moich przyjaciół, którzy w nieszczęściu odwrócili się odemnie; tak szeroko żyłem, iż kiedy dwaj cudzoziemcy przyszli powiedzieć mi, że wszystko przygotowane do roboty w pałacyku przy ulicy de Trévise, nie miałem już grosza przy duszy. Pan Brizard pojechał na wieś, a cała służba była poza domem, oprócz szwajcara czy odźwiernego. Postanowiliśmy, że Lantimèche przebierze się za starego handlarza starożytności, a Miton-Mitaine i ja za robotników, w bluzach białych i z przyprawionemi czarnemi brodami. Około jedenastej godziny rano przyszliśmy do pałacyku Brizarda z dużym obrazem, owiniętym w zielone płótno, który jakoby pan Brizard nabył od niejakiego Oppenheimera i rozkazał powiesić w swoim gabinecie. Lantimèche miał przy sobie bilet wizytowy pana Brizard, na którym tenże wypisał jakoby swoje polecenie pod tym względem. Marya Lenoir dostarczyła nam biletu i znaśladowała wyśmienicie charakter pisma swojego kochanka. Karol Turbot, odźwierny pana Brizard wprowadził nas bardzo grzecznie do gabinetu swego pana, na pierwsze piętro, a tam... tam...

— Tam zamordowałeś Karola Turbot, wpakowawszy mu sztylet pomiędzy łopatki?

— To nie ja, panie prezesie, dopuściłem się tego czynu haniebnego, to Miton-Mitaine.

— Filoche, źle robisz, cofając zeznania; powiedziałeś agentowi Répiquet, który aresztował cię w Brukseli, żeś ty sam zabił nieszczęśliwego Turbot?

— To fałsz, panie prezesie, szanuję agenta Répiquet, lecz musi to być łotr wierutny, kiedy tak powiedział.

(C. d. n.)

łatwą, ale i praktyczną, a co najważniejsze, czyni zbytecznem użycie odczynników chemicznych, z któremi nie każdy potrafi się obchodzić.

*W. Umiński.*

## TEATR.

(„Fircyk w zalotach" komedya Franciszka Zabłockiego wystawiona na scenie lwowskiej 17 b. m.)

Jest to nieszczęściem dla mniejszych talentów, poprzedzających wielkie, świetlane, że sława ich następców przyćmiewa ich światło do tego stopnia, że zapomina się o nich doszczętnie. Taki los spotkał i sławnego niegdyś w czasach Stanisławowskich Franciszka Zabłockiego, autora kilkudziesięciu utworów dramatycznych. Gdy się powie „ojciec komedyi polskiej" każdy pomyśli o Fredrze, o jakich lat trzydzieści późniejszym od tamtego. O Zabłockim—zdarza się to niestety dość często — ludzie należący do sfery inteligentnej bardzo mało, lub nic prawie powiedzieć nie umieją.

Półtora wieku upływa, gdy w roku 1750 ujrzał Franciszek światło dzienne. Ukończywszy szkoły w Międzyrzeczu u OO. Pijarów, udał się do Warszawy, gdzie został protokolistą w kancelaryi komisyi edukacyjnej i służył bez wszelkiego powodzenia, bo zostawał na tem samem stanowisku przez lat czternaście — na tem też stanowisku zastał go cios, jaki dotknął ojczyznę w r. 1795. Tragedya narodowa skłoniła go do wstąpienia do stanu duchownego i w roku 1796 wdział suknię duchowną, a w roku 1799 objął plebanię w Górze, później w Końskowoli, gdzie też w 1821 r. żywota dokonał, w cichości, zdala od gwaru świata.

Nie sprzyjał mu więc zbytnio los za życia, a i po śmierci nie doceniono jego zasług. Z kilkudziesięciu komedyi, kilkanaście zaledwie się dochowało do dzisiaj, inne przepadły gdzieś w bibliotekach teatralnych.

Dwie kategorye dzieł możemy rozróżnić u Zabłockiego. Jedne zupełnie oryginalne, wypływające z własnej obserwacyi i pomysłu, i drugie, których więcej, tłómaczone lub przerabiane z francuskiego. Rzecz to zresztą naturalna, wypływająca z całego nastroju literatury i życia ówczesnego — francuszczyzna była tak modną, że wszystko nią przeszło: dwór, obyczaje, literatura a teatrem zawładnęła wszechmoźnie... Musiał więc temu gustowi i Zabłocki hołdować — a tem bardziej, że nie mając wzorów swojskich, musiał opierać swe próby o utwore obce. Umiał jednak zawsze i wybrać z nich co dobre i nadać im mistrzowską formę, tak, że Brodziński wyraża się o Zabłockim, iż „w znajomości mowy ojczystej żaden mu z naszych pisarzy nie dorównał."

Ale zasługi Zabłockiego przejawiają się i w samodzielnej twórczości. Trzy są komedye, w których nie ma naśladownictwa, nie znać odblasku obcych wzorów, a które dają własne pomysły, własne obserwacye z życia, z otoczenia, z współczesnej epoki. Są to: „Zabobonnik" „Sarmatyzm" i wczoraj wystawiony „Fircyk w zalotach".

Roztaczają one przed naszymi oczyma obraz końca wieku XVIII, jego społeczeństwa, wraz z wszystkimi jego charakterystycznymi cechami, wadami i śmiesznościami. Postacie takie fircyków zapełniały ówczesne salony a jeden żywo zdjęty występuje w jego komedyi, która tem się odznacza, że dziś jeszcze grać ją można z powodzeniem, jak się okazało wczoraj.

Prawda, szczerze przyznać należy, że wystawiono sztukę bardzo ładnie i starannie. W dekoracyi i kostynmach wszystko było zupełnie *correct*. Wystawa była stylowa w każdym drobiazgu — i staranność ta godną jest uznania. A i gra artystów była tego rodzaju, że ręce mimowolnie składały się do poklasku. Fircyka grał p. Nowacki a grał doskonale i stworzył postać stylową, jednolitą. Pp. Chmieliński i Feldman, grali też znakomicie a panie Stachowiczowa i Zapolska zbierały szczere uznanie za znakomite odtworzenie swych ról. Po raz pierwszy wystąpił też nowo zaangażowany komik p. Zejdowski. W małej roli dał poznać, że scena nasza zyskuje doskonałą siłę.

*Dr. Eug. B*

## ROZMAITOŚCI.

**Przepowiednie wojenne.** W Wiedniu ukazała się broszura profesora Rudolfa Mewesa, który, pozazdrościwszy sławy swemu koledze profesorowi Falbowi za jego przepowiednie o pogodzie i końcu świata stara się przepowiedzieć... wszechświatową wojnę. Profesor Mewes pragnie broszurze swej nadać cechę studyum naukowego i na mocy dowodzeń matematycznych, oraz praw o peryodycznem powtarzaniu się faktów i zjawisk w naturze, sygnalizuje zbliżenie się groźnej chwili, kiedy wszystkie narody pójdą jeden przeciw drugiemu, wszystko niszcząc i niwecząc w wszechświatowej wojnie.

Mewes rozpoczyna swe studyum od najdawniejszych czasów i przebiegając stopniowo historyę, przychodzi do wniosku, że pewne zdarzenia historyczne powtarzają się co czas pewien.

Do takiego twierdzenia doszli profesorowie Zenger i Reus w dziedzinie meteorologii. Z tego powodu autor zestawia wydarzenia historyczne w odpowiednie grupy i wylicza czas, w jakim należy oczekiwać powtórzenia się danego wypadku. Wedle takiego obliczenia prof. Mewes dowodzi, że na każde 111 lat i trzy miesiące wypadają dwa okresy wojenne i okresy pokojowe, sprzyjające rozwojowi nauki i sztuki. Każdy z tych okresów powtarza się co 27.8 lat. Twierdzenie takie usprawiedliwiają tablice, obejmujące wszystkie ważniejsze zdarzenia do roku 1898. Okresy rozkwitu nauki i sztuki wedle autora — idą w parze z powodziami, okresy zaś wojny przypadają na czas suszy. Tym sposobem wierzenie ludowe w czerwony kolor nieba, zwiastujący jakoby wojnę, ma pewną cechę prawdopodobieństwa, gdyż zorza północna zwykle najbardziej się uwydatnia w latach, nieobfitujących w deszcze.

Dalej profesor Mewes powołuje się także na psychologię i stara się dowieść, że pewne objawy atmosferyczne oddziaływują na stan duszy i usposobienie człowieka. Narody zatem, z powodu różnych zjawisk i warunków klimatycznych, znajdują się w różnych usposobieniach i wydarzenia, stosownie do usposobień, dzielą się na wojownicze i pokojowe.

Wedle prof. Mewesa, ponieważ ostatnia wojna w Europie była w roku 1878, to następnej należy oczekiwać w roku 1904 i wedle obliczeń statystycznych autora okres wojenny przeciągnie się do roku 1932. Pierwsze symptomaty tego strasznego peryodu dadzą się zauważyć już w r. 1902, a więc za dwa lata.

**Przed sezonem przyjęć.** Ostatnia moda nakazuje, aby goście, zasiadający do wieczerzy, nie byli sadowieni, jak dotychczas za jednym dużym stołem, lecz za kilku mniejszymi stolikami, o ile możności malowniczo rozrzuconymi po sali stołowej. Stoliki te z nakryciem na 4, 6 lub 8 osób, otoczone wysokopiennemi krzewami roślin egzotycznych tworzą zupełnie oddzielne grupy, niestykające się wcale z sobą. Srodek stolika zajmuje wazon kwiatów, dwa kandelabry czteroramienne, karafki z wodą, flakony z oliwą i octem, a wreszcie nakrycia. Brzegiem zwiesza się w festonach girlanda z liści zielonych, przeplatanych kwiatami. Każdy stolik ma być ustrojony innemi kwiatami. Przeważnie królują tu róże, orchidee, złocienie i gwoździki. Gospodyni domu przed zaczęciem obiadu wyznacza dla każdego stolika jedną z pań jako „prezydentkę honorową" a jako oznakę tej godności przystraja gors jej bukietem tych samych kwiatów, jakiemi ubrany jest dany stolik. Od tej chwili odpowiedzialność i troska gospodyni domu o gości ustaje, gdyż każda z „prezydentek" dobiera do swego stołu odpowiednie towarzystwo i myśli o swoich biesiadnikach. Wywołuje to przed obiadem ożywioną agitacyę, podobno dodatnio wpływającą na humory i... apetyt. Zaznaczyć także trzeba, iż moda ostatnia nie pozwala, aby karty jadłospisowe z nazwiskiem gościa kładzione były przed każdem nakryciem. Jest tylko jedna karta, zatknięta w wazon z kwiatami, stojący na środku stołu.

**Tajemnicze wnętrze Afryki**, tej Afryki, o której zdobycie kuszą się wszystkie europejskie narody, porywa ciągle nowe ofiary. Obecnie przyszły wiadomości o wymordowaniu członków misyi francuskiej: p. Bretonneta, por. Brauna i sierżanta Martina, nie licząc już kilkudziesięciu zabitych strzelców senegalskich. Padli oni w boju z sułtanem Rabah, władcą obszernych krain, otaczających jezioro Cad. Ten sam Rabah przed kilku laty wyciął w pień całą misyę Crampelia. Wrażenie tej bolesnej misyi spotęgowała jeszcze okoliczność, że Rabah uważanym jest za sprzymierzeńca Anglii. Istotnie, rząd wielkobrytański na żądanie Gordona osadził go przed laty w tych posiadłościach, aby osaczyć w ten sposób mahdzistów. Dzienniki francuskie niedwuznacznie oskarżają Anglię, że umaczała ręce w tej sprawie, buntując czarnego sułtana przeciw eksploratorom francuskim. Od dawna stało się przyzwyczajeniem we Francyi na dnie wszelkiego narodowego nieszczęścia szukać intrygi Albionu. To też ostatnie klęski Anglików w Transwaalu budzą w Paryżu niekłamaną radość. Po otrzymaniu depesz o bitwie pod Ladysmithem, redakcya „Patrie" wywiesiła w oknach narodowe flagi Burów. Łatwo zrozumieć, jak mało przypadła do smaku podobna manifestacya sąsiadom z drugiej strony kanału.

**Miasto podziemne.** Bardzo ciekawego odkrycia archeologicznego dokonano w ostatnich czasach na Cejlonie. Znaleziono tam mianowicie miasto podziemne Anuradapura. Wyspa Cejlon, licząca obecnie około 3 milionów mieszkańców, w starożytności liczyła ich 10 razy tyle, a stolicą wyspy była wówczas właśnie Anuradapura, obecnie pokryta warstwą ziemi od 2 — 5 metrów, porośniętą gęstym dziewiczym niemal lasem. Miasto leży w północnej części wyspy, najmniej dziś zaludnionej i prawie pozbawionej środków komunikacyjnych. Było to miasto olbrzymie, zajmowało bowiem przestrzeń 25 kilometrów kwadratowych. Według starożytnej kroniki, na głównej ulicy miasta stało 11000 domów. Pod względem rozmiarów Anuradapura porównana być może tylko ze stubramnemi Tebami Egiptu. Dotychczas nie stwierdzono, czy Anuradapura była królewską czy też kapłańską stolicą Cejlonu. Liczne ślady wodociągów świadczą o bogactwie i wysokiej kulturze miasta, nad którem obecnie las porasta.



odpowiedzialny redaktor Platon Kostecki — Z drukarni i litografii Pillera i Spółki.